


Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Juliusz Verne**

**PIĘTNASTOLETNI  
KAPITAN**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## **CZĘŚĆ PIERWSZA**

# ROZDZIAŁ I

## Na pokładzie „Pilgrima”

W pierwszych dniach lutego 1873 r. dwumasztowy statek „Pilgrim” znajdował się pod 43°57' szerokości południowej i 165°19' długości wschodniej, według południka Greenwich.<sup>1</sup>

Był to bryg<sup>2</sup> specjalnie przystosowany do połowu wielorybów; zbudowany był w San Francisco i należał do Jakuba Weldon, który sprzedał go przed dziesięcioma laty kapitanowi Hullowi. Aczkolwiek bryg ten był najmniejszym z całej floty tego bogatego właściciela statków, był jednak zaliczany do najlepszych.

„Pilgrim” był godny swego kapitana, zaś ten ostatni cieszył się od dawna utrwaloną już sławą wytrwałego marynarza i niezrównanego łowcy wielorybów. Ze względu na małe rozmiary statku, jego załoga była bardzo nieliczna, gdyż składała się zaledwie z pięciu majtków. Ilość ta była niewystarczająca do łowów, lecz pan Weldon, idąc za przykładem wielu amerykańskich właścicieli statków wielorybicznych, wolał kompletować załogę po przybyciu statku do Nowej Zelandii, gdzie ludzi szukających pracy jest zawsze aż nadto.

Aczkolwiek polowania miały zazwyczaj przebieg – dla „Pilgrima” – nader pomyślny, ostatnia ekspedycja była dziwnie nieudana. Nie poszczęściło się absolutnie. Wielorybów nie spotkano zupełnie i trzeba było polegać na kaszalotach, na które polowanie nie należy do najbezpieczniejszych. Lecz i tych upolować zdołano małą liczbę, tak iż tylko niewielką ilość beczek zdołano wypełnić tranem. Wobec takiego niepowodzenia, kapitan Hull miał zamiar skierować swój statek jeszcze bardziej na południe, ku biegunowi, lecz projektu tego nie mógł zrealizować, ponieważ zebrana dorywczo załoga zaczęła nagle wyrażać swe niezadowolenie. Wobec tego, kapitan Hull uznał za wskazane pozbyć się jak najprędzej wszystkich przygodnie najętych majtków, którzy mogli się okazać nader niebezpiecznymi dla całego statku. Ostrożny kapitan, tłumiąc gniew, od razu zmienił kierunek i skierował bryg ku Nowej Zelandii.

W połowie stycznia zbliżył się on ku brzegom Auckland<sup>3</sup>, a następnie zarzucił kotwicę w Waitemata<sup>4</sup>, gdzie pozbył się całej zbuntowanej załogi.

Na statku pozostali wtedy amerykańscy majtkowie, którzy byli, rzecz zrozumiała, krańcowo przygnębieni niepomyślnym wynikiem wyprawy, jak również przedwczesnym jej zakończeniem. Jeszcze bardziej był zmartwiony kapitan Hull, który zły wynik uważał wprost za hańbę dla siebie. Starał się więc usilnie o zebranie nowej załogi, lecz zabiegi te nie zostały uwieńczone powodzeniem, ze względu na to, iż było już zbyt późno na zawieranie podobnych kontraktów. Z

---

<sup>1</sup> Greenwich – dzielnica Londynu nad Tamizą, przechodzi tam południk zerowy.

<sup>2</sup> Bryg – żaglowiec dwumasztowy z ożaglowaniem rejowym.

<sup>3</sup> Auckland – miasto w Nowej Zelandii, na Wyspie Pn., zał. 1840, główny port morski i ośrodek przemysłowy kraju.

<sup>4</sup> Waitemata – zatoka Oceanu Spokojnego, nad którą leży Auckland.

konieczności więc należało pogodzić się z losem i uważać wyprawę za zakończoną. Przeklinając w duszy zbuntowaną załogę, kapitan miał już porzucić Auckland, gdy inne okoliczności zmusiły go do dalszego przebywania w porcie, a w dodatku sprawiły, iż „Pilgrim”, zamiast beczek z tranem, dostał najniespodziewaniej na swój pokład pasażerów, choć pasażerskim statkiem nigdy nie był.

Niezwykłym zbiegiem okoliczności zdarzyło się mianowicie, iż w Auckland znajdowała się pani Weldon ze swym pięcioletnim synkiem, Jankiem. Przybyła ona tam wraz ze swym mężem i miała z nim razem powrócić również do San Francisco<sup>5</sup>, czemu jednak stanęła na przeszkodzie nagle choroba małego Janka. Pan Weldon musiał wracać, gdyż jego rozliczne interesy domagały się tego i z tej przyczyny pani Weldon pozostała w Auckland sama.

Trzy długie miesiące przeżyła pani Weldon z mężem w rozłące. Ukochany jej synek wrócił jednak w tym czasie całkowicie do zdrowia i mógł już śmiało udać się w podróż, na nieszczęście jednak ani jeden statek nie płynął do Kalifornii i pani Weldon skazana być mogła na długie miesiące oczekiwania.

W odległych czasach Nowa Zelandia nie miała jeszcze bezpośredniego połączenia z Kalifornią i chcąc się tam dostać, należało przedtem jechać do Australii, do Melbourne<sup>6</sup>, stamtąd – do brzegów Panamy i tam dopiero oczekiwać na rejs do San Francisco. Taki sposób podróży, z licznymi przesiadkami jest niewygodny i uciążliwy dla każdego, a cóż dopiero dla młodej kobiety, obciążonej małym dzieckiem!

Toteż pani Weldon szczerze się ucieszyła, gdy posłyszała o przybyciu do portu „Pilgrima”, i niezwłocznie zwróciła się do kapitana Hulla z prośbą, by ten zechciał przyjąć na pokład ją wraz z synkiem, a także i towarzyszącego jej kuzyna Benedykta, oraz wierną niańkę chłopczyka, Murzynkę Noon, która całe swe życie spędziła w domu Jakuba Weldon. Perspektywa odbycia długiej podróży na małym statku, o wyporności 400 ton, bynajmniej nie przerażała pani Weldon, zwłaszcza iż знаła ona kapitana Hulla jako doskonałego marynarza i miała do niego olbrzymie zaufanie.

Kapitan Hull propozycję pani Weldon przyjął z radością i natychmiast oddał do jej dyspozycji swą kajutę kapitańską, ażeby mogła odbyć podróż w warunkach możliwie najdogodniejszych, co było tym konieczniejsze, iż rejs miał trwać 30 do 40 dni.

Faktem, w pewnej mierze niekorzystnym dla pani Weldon, była ta okoliczność jedynie, iż „Pilgrim” musiał bezwarunkowo parę dni zatrzymać się w Valparaiso<sup>7</sup> w Chile, gdzie miał wyładować część swych wypełnionych tranem beczek. Ale z tym trzeba się było pogodzić. Poza tym pani Weldon była młoda, silna i zdrowa – nie obawiała się więc trudów podróży.

Co do kuzyna Benedykta, ten bez jednego słowa sprzeciwu zgodził się na wszystko, zdając się całkowicie na wolę swej kuzynki. Kuzyn Benedykt był w ogóle typem człowieka, który zgadzał się zawsze i na wszystko, nie dlatego, by był tak zgodny, lecz że wszystko było mu najzupełniej obojętne. Był on człowiekiem najzaciejszym, lat około pięćdziesięciu, lecz tak niezaradnym, iż wprost nie sposób było pozostawić go bez opieki. Było to życiowe dziecko. Pani Weldon traktowała go, jakby był jej drugim synkiem, starszym, ale o wiele mniej aniżeli jej Janek rozgarniętym. Nie szczupły, ale wprost chudy; twarz miał również wydłużoną, kościstą, włosy długie i gęste; charakterystyczną cechą tej oryginalnej postaci były bardzo długie ręce i nogi. Natrętnym nie był, przykrym również; zanudzał jednak wszystkich, a nawet i siebie. Dodatnim rysem jego charakteru było to jednak, iż był bardzo zgodny i łatwy w pożyciu. Zaliczyć go było

---

<sup>5</sup> San Francisco – miasto w USA w Kalifornii nad Oceanem Spokojnym.

<sup>6</sup> Melbourne – miasto w Związku Australijskim, stolica i główny port stanu Wiktorja.

<sup>7</sup> Valparaiso – miasto w Chile, główny port handlowy na zachodnim wybrzeżu Ameryki Pd.

można raczej do świata roślin, aniżeli do istot, żyjących indywidualnym swym życiem. Był jak drzewo, wysoko strzelające ku niebu, nie dające ni cienia, ni owoców. Dobry, szlachetny, prawy... jego pragnieniem było być użytecznym, lecz nie leżało to w jego możliwościach. Każda chęć zrobienia komuś przysługi kończyła się dla kuzyna Benedykta jakąś komiczną katastrofą. Mimo to poczciwy niedołęga cieszył się ogólną sympatią, był lubiany za swe złote serce, wypełnione zresztą po brzegi jedną jedyną namiętnością: miłością nauki.

Jego pasją była entomologia, tj. nauka o owadach. Jej poświęcał wszystkie dni, a często i nieprzespane noce.

By wzbogacić swe zbiory, kuzyn Benedykt udał się z państwem Weldon w daleką podróż do Nowej Zelandii. Gdy zaś pani Weldon zdecydowała się powrócić do San Francisco na pokładzie „Pilgrima”, kuzyn Benedykt zgodził się bez żadnego namysłu na to, iż jej będzie towarzyszyć również i w powrotnej drodze.

Nie upłynęły trzy dni, a pani Weldon wraz z synkiem, kuzynem Benedyktem i z Noon znalazła się na pokładzie „Pilgrima”. Gdy to się już stało, kapitan Hull chciał od razu dać rozkaz podniesienia kotwicy, lecz powstrzymał się, a następnie zbliżył się do pani Weldon ze słowami:

– Szanowna pani zechce po powrocie zakomunikować swemu małżonkowi, iż na własną odpowiedzialność wsiadła na pokład „Pilgrima”.

– Cóż to ma znaczyć, drogi kapitanie? – ze zdziwieniem zapytała pani Weldon. – Czyżby pan przypuszczał, że mi grozi jakieś niebezpieczeństwo?

– Nie, pani, tego nie musi się pani obawiać – kategorycznym tonem odpowiedział kapitan, ale widać było, iż zapytanie pani Weldon trochę go dotknęło. – „Pilgrim” jest brygiem doskonałym, któremu śmiało można zaufać; jednak wszystko jest w ręku Boga i nigdy ręczyć nie można za to, co się stanie. Nie będzie pani również miała tutaj należnych jej wygód.

– Ależ jeżeli tylko o to chodzi, to nie ma o czym mówić, kapitanie! – zawołała z wesołym śmiechem młoda kobieta. – Możemy śmiało ruszać w drogę.

Wobec tego „Pilgrim”, dnia 22 stycznia podniósł kotwicę, a 2 lutego znajdował się już na niezmiernym oceanie, w punkcie, który wskazaliśmy na początku tego rozdziału.

## ROZDZIAŁ II

### Dick Sand i historia jego życia

Początek podróży był bardziej niż pomyślny. Bez względu na małe wymiary statku i brak wygodnych kajut pasażerskich, pani Weldon zdołała się ulokować wygodnie w dość prymitywnie urządzonej kajucie kapitana. Na szczęście kajuta była dosyć obszerna, więc w dzień zmieniała się ona w salon jadalny, w którym zasiadali do stołu: pani Weldon, Janek, kuzyn Benedykt i kapitan.

Ci dwaj ostatni znaleźli schronienie: pierwszy w kajucie pomocnika kapitana, zaś drugi – w obszernym pomieszczeniu, które normalnie było przeznaczone dla załogi przygodnie werbowanej.

Stali majtkowie „Pilgrima” mieli swą oddzielną kajutę, którą od pięciu lat wspólnie zajmowali. Byli to ludzie doskonale znający morze i bardzo do swego kapitana przywiązani. Wszyscy oni byli zadowoleni ze swej służby, ponieważ pan Weldon nagradzał szczerze ich pracę.

Jednym jedynym człowiekiem zupełnie obcym na pokładzie „Pilgrima” był kucharz, Negoro, przyjęty do służby w Auckland na miejsce dawniejszego, Niemca, który zbuntował się wraz z resztą załogi.

Portugalczyk Negoro zaofiarował swe usługi i został przyjęty. Okazało się, iż był to człowiek dobrze znający swą pracę i obowiązkowy. Z morzem był on również, jak się zdawało, niezłe zaznajomiony. Choć nowo przyjęty kucharz wypełniał wzorowo swe obowiązki, był cichy, zgodny i gotował bardzo smacznie, kapitan nie był zadowolony z siebie, iż go przyjął na pokład, a to z tej przyczyny, iż nic nie wiedział o jego przeszłości. Nikt mu Negora nie polecił, bo nikt go nie znał. Uporczywe milczenie tego czterdziestoletniego, bladego i ponurego Portugalczyka, jego stalowe, zimne, o złym wyrazie oczy, wreszcie urągliwy uśmiech na jego wąskich wargach również nie bardzo przypadły kapitanowi do gustu.

Czy Negoro posiadał jakieś wykształcenie?... Czym się dawniej zajmował? Gdzie się urodził i wychował?... Wszystkie te pytania pozostawały bez odpowiedzi. Kapitan wiedział tylko to, iż Negoro pragnął opuścić statek w Valparaiso. Czy miał tam rodzinę, do której zmierzał?... Czy też stamtąd chciał się udać gdzieś dalej? – było to absolutnie niewiadome. Sternik Howick był zdania, że kucharz „posiada wychowanie, jakiego i oficer by się nie powstydział”, ale były to subiektywne jedynie wrażenia, na niczym nie oparte. Prawda, iż wyrażał się on nieco wytworniej, aniżeli ogół majtków, ale to jeszcze nie dowodziło niczego. Twierdzić cokolwiek o nim stanowczo – było nie sposób. Był tajemniczy – oto wszystko. Robił wrażenie tajemniczego z tej może przyczyny jedynie, iż trzymał się w odosobnieniu, z dala od wszystkich. A tacy ludzie nie są lubiani.

Pomocnikiem kapitana na „Pilgrimie”, wobec braku starszego oficera, był tak zwany „ochotnik”, młodzieniec, który dopiero się kształcił w szkole marynarzy, lecz który na statku pełnił obowiązki zwykłego majtka, nie z potrzeby, lecz by tym sposobem zdobyć wiedzę praktyczną. Dick Sand, tak się nazywał ów młodzieniec, urodzony był w Ameryce Północnej, w



okolicach Nowego Jorku. Nie było to pewne, ponieważ biedny chłopiec był podrzutkiem, którego dobrzy ludzie znaleźli na ulicach tego wielkiego miasta; imię Dick – Richard otrzymał, ponieważ takie właśnie imię nosił człowiek, który go znalazł na ulicy, zaś nazwisko Sand – z racji mielizny, na której został znaleziony, a która nosi miano „Sandy Hook”. Pierwsze wychowanie maleńki Dick otrzymał w ochronce, przy czym bardzo szybko pojął swe smutne położenie i ocenił, iż ochronka, choć starannie prowadzona, nic mu nie da, bo nic mu dać nie jest w stanie. Toteż mając osiem lat zaledwie, uprosił swoich przełożonych, aby ci zechcieli go oddać na jakiś statek. Jego prośba została wysłuchana i Dick znalazł się wkrótce na pasażerskim statku, kursującym regularnie pomiędzy portami Południowej i Północnej Ameryki.

Na statku tym nie tylko pasażerowie, ale i oficerowie zajęli się bardzo życzliwie bezdomnym sierotą i zaczęli go kształcić tak, iż Dick po trzyletniej na tym pasażerskim statku służbie, zdał egzamin do wyższej szkoły marynarskiej, do której został następnie przyjęty dzięki protekcji kapitana Hulla. Zaczynał ten człowiek opowiadać dzieje chłopca swemu chlebodawcy, panu Weldonowi i sprawił, iż bogaty właściciel okrętów zajął się losem Dicka, co spowodowało, że i profesorowie w szkole zajęli się gorliwie jego nauką i w rezultacie pojętny, pilny i pracowity chłopiec w piętnastym roku życia posiadał już wiedzę bardzo rozległą.

Ponadto Dick był zbudowany jak atleta: był silny, gibki i zręczny. Oczy miał niebieskie, włosy ciemne. Zawód marynarski wyrobił w nim energię, bystrość, szybką orientację i przedsiębiorczość. Nadmierna umysłowa praca wyczerpała jednak nieco organizm młodego chłopca, więc sam kapitan Hull poradził mu, ażeby przyjął on na krótko obowiązki praktykanta na „Pilgrimie”, co będzie z dużą korzyścią dla jego wiedzy praktycznej. Dick zgodził się na to z ochotą i tak znalazł się na pokładzie statku.

Pani Weldon znała Dicka jeszcze z San Francisco, toteż na jego widok bardzo się ucieszyła. Jeszcze bardziej był uradowany widokiem swego przyjaciela mały Janek, dla którego Dick był zawsze bardzo dobry.

Podróż odbywała się, jak dotąd, w warunkach dość sprzyjających, chociaż kapitan uskarżał się nieco na wiatr nie najpomyślniejszy, który mógłby, dmąc dłużej w tym samym zachodnim kierunku, przedłużyć znacznie podróż.

Monotonie jazdy ożywił, dnia 16 lutego, około godziny dziewiątej rano, wypadek nie tak znów często zdarzający się na oceanie.

Pogoda w tym dniu była jasna, słoneczna i cicha. Korzystając z niej, Dick i Janek wesoło zabawiali się na pokładzie, a następnie wdrapali się po maszcie aż do bocianiego gniazda.

Gdy się tam znaleźli, na twarzy Dicka zamarł nagle niefrasobliwy śmiech, chwilę patrzył on uważnie na jakiś oddalony punkt, a następnie zawołał głośno:

– Rozbity statek!

## ROZDZIAŁ III

### Rozbity statek

Krzyk ten zwabił wszystkich na pokład. Nie mówiąc o kapitanie, pani Weldon i Noon, nawet kuzyn Benedykt oderwał się od swych zbiorów i zaciekawiony wychylił głowę zza drzwi swej wiecznie zamkniętej kajuty. Jeden tylko Negoro pozostał głuchy, jak zwykle, najzupełniej obojętny nawet na ten wypadek. Cóż go obchodzić mógł cudzy rozbity statek?

Wszyscy wpatrywali się z uwagą w daleki, ciemny punkt na morzu, znajdujący się od nich w odległości trzech mil.

– Nie ma wątpliwości, że jest to wrak! – powiedział kapitan.

– Ach, Boże! – zawołała wtedy pani Weldon – Kapitanie, śpieszmy tam!... Przecież na tych szczątkach znajdować się mogą ludzie oczekujący pomocy!

– Przekonamy się o tym – odpowiedział spokojnie Hull, który, zwracając się następnie do sternika, zakomenderował:

– Howicku, skieruj statek ku rozbitym szczątkom.

W bardzo krótkim czasie „Pilgrim” znalazł się w odległości pół mili od wraku. Wtedy wszyscy z całą dokładnością zobaczyli, iż statek, leżący na lewym boku, był ciężko uszkodzony i fale zalewały jego część znajdującą się już w wodzie.

– Tutaj miało miejsce zderzenie dwóch statków – powiedział z bólem w głosie kapitan Hull, pokazując pani Weldon dużą szczelinę widniejącą w prawej burcie okrętu – gdyby otwór ten znajdował się pod wodą, statek zatonałby już dawno; na szczęście stało się inaczej.

– No, w takim razie chwała Bogu, że przynajmniej na tym nieszczęsnym statku nie ma rozbitków – rzekła z westchnieniem ulgi pani Weldon – bo przecież statek, który był winowajcą zderzenia, musiał wziąć niewątpliwie całą załogę statku poszkodowanego na swój pokład.

– Tak przynajmniej statek ten powinien zrobić – odpowiedział kapitan – mogło się stać i inaczej, mianowicie tak, że załoga tonącego statku zmuszona została do szukania ratunku na swych własnych szalupach. Bardzo często się bowiem zdarza, iż statki, które wyszły cało z wypadku, ratują się ucieczką, ażeby uniknąć odpowiedzialności.

Pani Weldon podniosła wtedy na mówiącego swe piękne, pełne zdumienia oczy.

– Czyżby mogli się znaleźć ludzie – zawołała – do tego stopnia podli, by pozostawić bez ratunku tonących, świadomi tego, iż są winni nieszczęściu? Czyżby mógł się znaleźć kapitan do tego stopnia nieludzki?

– Niestety, podobnego rodzaju nikczemnicy trafiają się dość często pomiędzy żeglarzami wszystkich narodowości, zaś najczęściej – pomiędzy Anglikami. Chęć uniknięcia odpowiedzialności, a zwłaszcza obawa, iż w razie stwierdzenia winy trzeba płacić odszkodowanie za uczynione straty, sprawia, iż winowajcy, nie troszcząc się o załogę skazaną przez nich na zagładę, szybką ucieczką starają się zatrzeć swój ślad. I w tym wypadku tak właśnie się niewątpliwie stało, zaś moje mniemanie opieram na fakcie, że nie widzę przy burcie tonącego statku ani jednej łodzi ratunkowej. Gdyby załoga była przyjęta na pokład tamtego statku, szalupy by pozostały.

– Może jednak zostały one porwane falami – nieśmiało odważył się wtrącić swe zdanie młody Dick.

– Byłyby wtedy resztki sznurów, a tych nie widzę tutaj – odpowiedział kapitan. – Wynika stąd, iż były opuszczane na wodę przez samą załogę.

– A więc należy jedynie prosić Boga, ażeby nieszczęśliwym pozwolił cało dotrzeć do brzegów – żalonym głosem powiedziała pani Weldon.

– Niestety!... Stać by się to mogło cudem jedynie. Najbliższy ląd jest tak daleko, iż nadzieja ocalenia równa się zeru.

– Mamo, mamó! – wmieszał się nieoczekiwanie do rozmowy mały Janek. – Mnie się zdaje, iż z tamtego statku dochodzi do nas jakiś głos. Może więc tam ktoś został?

Te słowa chłopca zastanowiły wszystkich. Zaczęli się uważnie przysłuchiwać.

– Mam wrażenie – powiedział Dick – jakbym słyszał szczekanie psa.

– Tak jest – zawołał radośnie Janek – to piesek szczeka! My go uratujemy, prawda, mamusiu?...

– Poproś o to kapitana, dziecino moja! On jest tutaj panem – odpowiedziała ciepłym głosem pani Weldon. – Jestem jednak przekonana, że wysłucha on twej prośby.

– Uczynię to bez najmniejszego sprzeciwu, proszę pani. Grzechem by było pozostawiać na pastwę głodowej, powolnej śmierci nieszczęśliwe stworzenie.

Po wypowiedzeniu tych słów zacny kapitan zwrócił się z rozkazem do sternika:

– Hallo!... zatrzymać statek i spuścić na wodę szalupę. Dicku – mówił dalej kapitan, zwracając się do praktykanta – popłyniesz ze mną, aby obejrzeć szczątki i przyprowadzić na statek tego nieszczęśliwego psiaka.

– Słucham! – odpowiedział młody chłopiec, przywykły do ślepego posłuszeństwa.

Nie upłynęło pięć minut, gdy mała łódka kapitańska płynęła ku resztkom rozbitego statku, popychana dwoma parami wiosł, znajdujących się w zylastych rękach dwóch marynarzy. Młody Dick zajął miejsce przy sterze i skierował łódkę ku rufie, gdzie jak się wydawało, najłatwiej było można wydostać się na pokład.

W miarę zbliżania się statku, szczekanie słycać było coraz wyraźniej, aż na koniec wielki pies ukazał się na pokładzie, utrzymując się z trudem na pochyłości.

– Dicku!... stop! – zakomenderował kapitan. Pies, na widok zbliżających się, zaczął ujadać gwałtownie, a następnie wyczał żałośnie i podbiegać do drzwi prowadzących do wnętrza statku.

– Czyżby się tam ktoś znajdował? – krzyknął kapitan.

– Uważaj, piesku, uważaj, bo spadniesz – wołał tymczasem z oddali mały Janek, przesyłając psu pocałunki.

Pies na ten głos ucichł nagle, wyciągnął mordę i zaczął węszyć.

W tej samej chwili ze swego kuchennego państwa wyszedł na pokład Negoro i w milczeniu, jak zazwyczaj, zbliżył się ku przodowi statku.

Zaledwie Negoro zaczął się zbliżać ku rozbitemu statkowi, idąc po pokładzie „Pilgrima”, zachowanie psa zmieniło się zasadniczo. Ze wściekłym ujadaniem zaczął się rwać ku „Pilgrimowi” i była taka chwila, iż chciał się już rzucić do wody.

Brwi Portugalczyka na widok psa zmarszczyły się, a twarz, zawsze blada, nabrała ziemistych odcieni. Negoro niczym nie ujawnił swego wzburzenia i, równie spokojnie jak przyszedł, wrócił do swej kuchni, jakby nie znajdując nic ciekawego w widoku tonącego statku.

– Co się temu psu nagle stało, wściekł się, czy co? – zapytał kapitan Hull ze zdziwieniem.

Lecz wraz z odejściem Negora i pies uspokoił się momentalnie.

– Biedak, najwidoczniej ginie z głodu – zrobił uwagę kapitan – i to go chwilami doprowadza do szału.

Łódź tymczasem przybiła już do burty tonącego statku, wynurzającego się z wody i wtedy Dick przeczytał nazwę okrętu: „Waldeck”. Nic ponadto. Z budowy pudła i z różnych szczegółów, które ujść nie mogły fachowemu oku, kapitan Hull wywnioskował, iż „Waldeck” był zbudowany w Ameryce, czego dowodziła zresztą sama nazwa. Statek miał około 500 ton nośności.

Poza psem na statku nie było najmniejszego śladu żywej istoty. Stan pokładu okrętowego, z którego fale zmiotły już wszystko, ujawniał, iż katastrofa wydarzyła się dość dawno.

– Jeżeli na statku tym pozostali nawet ludzie, to od dawna musieli już poumierać z głodu i pragnienia – odezwał się smutnym głosem sternik – i jestem zdumiony, że ten pies żyje jeszcze, wypadek bowiem zdarzył się co najmniej dwa tygodnie temu.

– Masz całkowitą rację, Howicku – przyznał kapitan – jednak obowiązkiem naszym, gdy już tu jesteśmy, jest zbadać wnętrze statku, zwłaszcza iż zachowywanie się tego psa daje do myślenia. Być może, iż znajdziemy jeszcze pod pokładem nieszczęśliwych, czekających na ratunek.

– Znajdziemy co najwyżej parę trupów – pochmurnie odpowiedział stary sternik.

– Mylisz się, Howicku – pełnym wiary głosem odezwał się Dick. – Inne byłoby zachowanie tego psa, gdyby w kajutach nie było nikogo żyjącego.

Pies, jakby zrozumiał te słowa, z głośnym skowytym podskoczył ku drzwiom prowadzącym do kajut, a następnie jednym skokiem rzucił się do wody i zaczął płynąć ku łódce, na którą wydostały go bez większego trudu silne ręce majtków i Dicka. Gdy pies znalazł się już w łodzi, natychmiast podbiegł do beczułki ze słodką wodą i zaczął pić.

– Otóż to – zawołał sternik – czyż nie mówiłem?... biedak zdychał z pragnienia. No, teraz możemy już śmiało wracać do „Pilgrima”.

Mówiąc to, uderzył wiosłami, które oddaliły natychmiast łódkę od rozbitego pudła.

Lecz pies spostrzegł to natychmiast, bez najmniejszego ociągania się przestał gasić pragnienie i zaczął wycić żałośnie, zwracając mordę ku okrętowym szczątkom. Jego postać i wycie były tak wymowne, że zrozumieć je musiał każdy. Nie mogło już być najmniejszej wątpliwości, iż na statku ktoś się znajdował, najprawdopodobniej właściciel psa. Lecz z jakich przyczyn nie dawał on znaku życia? Jeżeli żyje, to słyszeć musiał przecież głosy nawołujących majtków... Dlaczego więc nie odpowiada?...

Nie można było wahać się dłużej. Łódka ponownie przybliżyła się do pudła, a gdy to się stało, pies momentalnie wydostał się na pokład i stanął przy drzwiach kajuty, przymilającym skomleniem przywołując przybyłych.

Dick i kapitan podążyli za nim i wydostali się na pokład, po którym, czołgając się z wielkim trudem, dotarli do przejścia między masztami i weszli pod pokład. Gdy się tam znaleźli, ujrzeli pięć ciał, które leżały bez ruchu na podłodze, zdawało się, że martwe. Byli to Murzyni.

– Spóźniliśmy się! – smutnie powiedział kapitan, zdejmując czapkę z głowy. – Niech ich Bóg przyjmie do Chwały Swojej.

Lecz pies najwidoczniej nie podzielał tego zdania, gdyż z głośnymi skowytami rzucał się na nieruchome ciała, liżąc ręce i twarze.

– Możliwe, iż w biedakach tych tli się jeszcze życie, że znajdują się oni w silnym omdleniu, wywołanym wycieńczeniem organizmu – odezwał się Dick. – W każdym razie nie możemy ich tak pozostawić, bez próby przyprowadzenia ich do przytomności.

Aby to zrobić, wszyscy zostali przewiezieni szalupami na pokład „Pilgrima”, gdzie po licznych zabiegach zaczęli powracać do życia.

Wtedy kapitan zawołał Negora, ażeby ten dał bulionu i rumu dla uratowanych.

Kapitan nie zdążył wymówić słowa „Negoro”, gdy pies, który do tej chwili tulił się do

uratowanych, skomlać cicho, stanął wyprostowany i zaczął pokazywać groźne kły.

– Negoro! – zawołał kapitan ponownie. – Ogluchłeś, czy co? Portugalczyk ukazał się na koniec na pokładzie, lecz wtedy pies jednym skokiem rzucił się na niego, chcąc go pochwycić za gardło.

Na szczęście inni majtkowie powstrzymali rozjuszony zwierzę.

– Co to ma znaczyć? – zapytał zdziwionym głosem kapitan Hull – Dlaczego pies ten, taki łagodny dla wszystkich, tobie jednemu pokazuje zęby, Negoro? Czy go znałeś? A może wyrządziłeś mu jakąś krzywdę?

– Ja? Pierwszy raz w życiu widzę tą bestię – spokojnie odpowiedział Negoro – psisko oszalało z głodu i ma coś przeciw mnie.

– Dziwna sprawa – szepnął do siebie Dick – i myślę, że pies ten mógłby nam opowiedzieć wiele o przeszłości tego człowieka, którego nie znamy zupełnie.

## ROZDZIAŁ IV

### Ocaleni pasażerowie „Waldecka”

Choć stanowiło to hańbę cywilizacji, do samego niemal końca XIX wieku handel niewolnikami na wielką skalę kwitł nieprzerwanie w pewnych okolicach Afryki. Bez względu na międzynarodowe konwencje, jak również staranny nadzór licznych krążących po morzach okrętów wojennych wszystkich państw Europy, statki pełne niewolników odbijały od brzegów Angoli<sup>8</sup> i Mozambiku<sup>9</sup>, aby dowozić „heban” czyli czarnych niewolników do różnych punktów odbiorczych, pomiędzy którymi, co ze wstydem przyznać trzeba, były i zakątki świata cywilizowanego.

Wszystko to wiedział kapitan Hull, toteż pierwszą jego myślą było, iż „Waldeck” należał do tego samego typu statków i że uratowani Murzyni byli niewolnikami wiezionymi na sprzedaż. Tak czy inaczej, ocaleni niewolnicy stali się wolnymi z chwilą, gdy wstąpili nogą na pokład okrętu płynącego pod amerykańską flagą. Toteż pani Weldon już cieszyła się myślą, że biedakom przekaże tę radosną nowinę, gdy tylko wrócą oni do przytomności. Otoczono nieszczęśliwych staranną opieką i już po upływie trzech dni wszyscy Negrzy<sup>10</sup> znajdowali się w dobrym stanie. Można było wtedy rozpocząć rozmowę. Wszyscy mówili po angielsku, wyrażając się bardzo poprawnie.

– Wasz statek rozbił się wskutek zderzenia z drugim? – zapytał przede wszystkim kapitan Hull.

– Tak jest – odpowiedział najstarszy z gromadki ocalonych, wysoki, potężny mężczyzna lat około 60-ciu, z sympatyczną twarzą, z której przebijał rozum i silna wola – stało się to nocą, gdyśmy spali w swej kajucie, musiało to nastąpić nagle, bo gdyśmy się przebudzili i wyszli na pokład, ujrzeliśmy jedynie obie łodzie „Waldecka” ginące już we mgle. Zostaliśmy na statku sami – zapomniani. Winny katastrofy statek najwidoczniej uciekł.

– Skąd i dokąd płynął „Waldeck”?

– Z Melbourne w Australii, do portów Południowej Ameryki.

– A więc nie jesteście niewolnikami? – zapytał szybko orientujący się Dick, wyciągając do starca rękę.

– Dzięki Niebiosom jesteśmy wolnymi obywatelami Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki – z poczuciem godności odpowiedział stary Tom za siebie i za swych przyjaciół. – Pamiętam okropności niewoli, ponieważ wywieźli mnie z Afryki, gdy byłem bardzo małym chłopcem, dzieckiem prawie i sprzedali do plantacji znajdujących się na południu Stanów Zjednoczonych. Szczęśliwy traf sprawił, iż stamtąd dostałem się do Pensylwanii, gdzie nie tylko uzyskałem wolność, ale uzyskałem prawa obywatelskie Stanów Zjednoczonych. Co się zaś tyczy moich towarzyszy, to jeden jest moim synem i nazywa się Baty. Tak on, jak i reszta moich

---

<sup>8</sup> Angola – państwo w południowo-zachodniej Afryce, w XIX w. kolonia portugalska

<sup>9</sup> Mozambik – państwo na południowym wschodzie Afryki, w XIX w. kolonia portugalska.

<sup>10</sup> Negrzy (z łac.) – Murzyni.

przyjaciół urodziła się już z wolnych rodziców, więc wszyscy są już wolnymi obywatelami Ameryki. W poszukiwaniu pracy pojechaliśmy przed pięcioma laty do Australii, gdzie pracowaliśmy na plantacjach. Poszcęściło się nam, gdyż zarabialiśmy dosyć dużo i obecnie właśnie, na pokładzie „Waldecka”, wracaliśmy do swych rodzin, gdy zły los nie tylko pozbawił nas pięcioletnich zarobków, ale i sami omal nie straciliśmy życia. Oto cała nasza historia – zakończył stary Tom swe przemówienie.

Wszystko to opowiedziane było z taką szczerością, że nikt nie wątpił w prawdę słów starego Murzyna.

Następnie Tom i jego towarzysze: Baty, Herkules, Austyn i Akteon gorąco dziękować zaczęli za uratowanie im życia.

Za ocalenie nie mniej wdzięczny od ludzi był i pies. Był to okaz pierwszorzędny, należący do rasy brytanów. Wabił się Dingo. Według opowieści Murzynów, należał on do kapitana, który go znalazł w warunkach dość niezwykłych, na pół martwego, w Afryce, nad brzegami rzeki Kongo. Dingo okazywał swemu wybawcy duże przywiązanie, lecz był stale bardzo smutny i osowiały. Jego olbrzymia siła i odwaga były ogólnie znane. Znalezione go w obroży, na której znajdował się napis: „Dingo” oraz litery: „S.V.”

## ROZDZIAŁ V

### Tajemnicze litery

Wypadek z wrakiem okazał się bardzo korzystny dla jednego z pasażerów „Pilgrima”. Szczęśliwcem tym był mały Janek, ponieważ pozyskał dwóch przyjaciół: Dinga i Herkulesa. Ten ostatni był jednym z Murzynów, zbudowanym jak atleta, o sile niewiarygodnej wprost, łagodny przy tym jak dziecko. Chłopczyk bawił się z nim po całych dniach, co rozweselało jego matkę zmartwioną nieco tym, iż wiatr dał bez zmiany w niewłaściwym kierunku, co mogło bardzo opóźnić podróż.

Mały Janek lubił patrzeć na swego nowo pozyskanego przyjaciela, olbrzyma, mającego około siedmiu stóp wysokości. Nie tylko się go nie obawiał, lecz z najwyższą radością się z nim bawił. Podobało mu się zwłaszcza, gdy Herkules stawiał go sobie na swych potężnych dłoniach i tak podnosił w górę, jak małą laleczkę.

– Jestem najwyższym człowiekiem na całym pokładzie – wołał chłopczyk z radosnym śmiechem.

– A czy ja jestem bardzo ciężki? – pytał.

– Bardzo! – odpowiadał Herkules. – Jak motyl bujający na trawce!

Innego rodzaju, lecz również bardzo miłym przyjacielem był Dingo. Pies ten na pokładzie „Waldecka” – według relacji Murzynów – unikał ludzi, na „Pilgrimie” zachowywał się zupełnie inaczej. Przepadał zwłaszcza za Jankiem, który znów lubił bardzo jeździć na brytanie, i był wierzchowcem o wiele lepszym, niż najpiękniejsze konie na biegunach.

Nie zawsze, niestety, mały Janek mógł spędzać swój czas na tak miłych zabawach, a to z tej przyczyny, iż pani Weldon, korzystając z tego, że na pokładzie „Pilgrima” wszyscy mieli dużo wolnego czasu, zaczęła uczyć chłopca trudnej sztuki czytania. By mu jednak ułatwić zdobycie tej wiedzy, zaczęła naukę od zabawy. Janek mianowicie rozpoznawać zaczął litery na ruchomych deseczkach, a gdy to się udało, z wolna z liter pojedynczych układał najpierw oddzielne wyrazy, jak: mama, tata, Dick, Dingo... a następnie i całe zdania. Była to doskonała zabawa, którą chłopiec polubił tak bardzo, iż się nią zajmował nawet wtedy, gdy matki przy nim nie było.

Pewnego dnia literami zaczął się zajmować również i Dingo. Naprzód obwąchał każdą deseczkę starannie, a następnie zaczął się pilnie przyglądać literom. Aż wreszcie jedna z deseczek zwróciła jego specjalną uwagę, stał nad nią długo, machał długo swym puszystym ogonem, aż wreszcie głośno szczechnął i porwał zębami deseczkę, którą złożył potem ostrożnie z daleka od innych.

Była to deseczka z literą „S”.

– Dingo!... co ty robisz? – zawołał przestraszony chłopczyk, pełen obawy o całość swych zabawek.

Lecz wielki brytan nie miał zamiaru niszczenia liter, nie tylko nie odstępował ich, lecz przeciwnie – stanął nad pozostałymi, wpatrywał się w nie długo, aż wreszcie pochwycił pyskiem deseczkę drugą, którą położył obok pierwszej.



Gdy to zrobił, z triumfem podniósł łeb do góry i głośno zaszczekał.

Mały Janek, jak również i stary Tom, który w tej chwili opiekował się chłopczykiem, byli jednakowo zdumieni zachowaniem Dinga. Janek był przekonany, iż jego czworonożny przyjaciel również nauczył się czytać, a przynajmniej rozpoznaje litery nie gorzej od niego.

– Mamo! Dicku!... chodźcie tutaj jak najprędzej – wołał uradowanym głosem. – Chodźcie! przekonajcie się, że nasz Dingo umie czytać.

Dick Sand pierwszy zbliżył się do psa, który nieruchomo stał wciąż nad literami przez siebie wybranymi i przeczytał: „S.V.”

– Zechciej wymieszać litery, a zobaczysz, że Dingo wybierze je powtórnie – wołał Janek pełnym głębokiej wiary głosem.

Wołania te zainteresowały również kapitana Hulla oraz panią Weldon, która dopiero teraz miała możliwość oderwania się od pracy, jaką była zajęta w swej kajucie.

Dick, mimo pewnego oporu Dinga, zmieszał wszystkie litery, a następnie rozłożył je wszystkie ponownie przed psem. Wtedy ten delikatnie zaczął obwąchiwać deseczki, przyglądając się im, aż wreszcie wybrał powtórnie te same, na których były litery „S.V.”

– Rzecz zaprawdę zdumiewająca – odezwała się pani Weldon – czyżby ten pies istotnie rozpoznawał litery?

– Zwłaszcza, że są to te same litery, które Dingo ma wyryte na swej obroży – powiedział w głębokim zamyśleniu kapitan Hull. – Tomie!... kapitan „Waldecka” miał podobno znaleźć tego psa nad brzegami Konga, prawda?

– Tak jest, panie kapitanie – odpowiedział stary Tom – kapitan „Waldecka” niejednokrotnie opowiadał tę historię.

– Ha! w takim razie pies ten miałby wiele do opowiedzenia o sobie – zrobił uwagę kapitan – i wielka szkoda, że to rozumne zwierzę nie ma możliwości zrobienia tego, bo w takim razie powiedziałby on nam może... – tutaj kapitan Hull zamilkł i wpadł w głębokie zamyślenie.

– Litery te, przez psa wybrane, coś ci przypominają, kapitanie? – z zaciekawieniem zapytała pani Weldon.

– Być może, pani. Coś mi się tam kołacze w głowie, jakaś myśl zamglona, jakieś wspomnienie... Byłby to dziwny zbieg okoliczności w każdym razie. Możliwe, iż te litery dają wskazówki co do losu pewnego młodego podróżnika po Afryce, który do dziś jest niewiadomy.

– O kim takim mówisz, kapitanie? – zapytała pani Weldon. – Nie przypominam sobie bowiem imienia i nazwiska, które rozpoczynały by się od liter „S.V.”

– O, pani mogła nie słyszeć nawet o francuskim uczonym. Samuelu Vernonie, który udał się do Środkowej Afryki przed dwoma laty z polecenia Paryskiego Towarzystwa Geograficznego. Miał on zamiar przejść przez Czarny Kontynent z zachodu na wschód. Otóż tę swą wyprawę rozpoczął, o ile sobie przypominam, od ujścia Konga, zaś kresem jego podróży miały być: Przylądek Delgado i ujście rzeki Ruwumy, brzegami której iść właśnie miała wyprawa wspomnianego podróżnika.

– I uczony ten nazywał się Samuel Vernon?

– Tego ostatniego faktu jestem całkowicie pewien. Otóż możliwe, iż pierwsze litery imienia i nazwiska tego podróżnika właśnie wyryte zostały na obroży Dinga.

– I losy tego podróżnika nie są znane, bez względu na to, iż rozpoczął on swą podróż przed dwoma z górą laty? – ze wzruszeniem dopytywała się pani Weldon.

– Niestety, wszelkie wieści o nim zaginęły i nie są znane dotychczas nikomu. Najprawdopodobniej został on zabity gdzieś po drodze przez dzikich.

– Więc pan przypuszcza, że Dingo należał do tego nieszczęśliwego podróżnika?... Lecz czy wiadomo było, że ów Samuel Vernon wziął ze sobą psa, udając się w tę daleką drogę?

– Jest to tylko moje przypuszczenie, które przyjąłem wtedy dopiero, gdy ujrzałem, że Dingo z całego alfabetu wybierał te właśnie litery. W podobnych podróżach bywają zazwyczaj bardzo długie postoje. Otóż Samuel Vernon dla zabicia czasu mógł pojętne zwierzę wyuczyć rozpoznawania pierwszych liter swego imienia i nazwiska. Po katastrofie, zwłaszcza jeżeli miała ona miejsce zaraz na początku podróży, pies łatwo mógł wrócić do punktu, z którego wyprawa ruszyła, to jest do ujścia rzeki Kongo.

– Powiedz mi jeszcze jedno, kapitanie – czy ten Samuel Vernon samotnie udał się w swą podróż, w towarzystwie tylko psa, co zresztą jest przypuszczeniem zaledwie? – zapytała raz jeszcze młoda kobieta.

– Żadne bliższe szczegóły wyprawy Samuela Vernona nie są mi znane, pani. Lecz jest niemożliwe, by mógł się on wybrać samotnie w taką podróż. Zazwyczaj podobne wyprawy odbywają się przy udziale, bardzo licznym czasami, krajowców, którzy pełnią obowiązki tragarzy i przewodników. Bez takiej pomocy podróżowanie po Afryce jest niemożliwe. Tak więc było niewątpliwie i w tym wypadku. Czy jednak Vernonowi towarzyszył jakiś Europejczyk – nie wiem. Być może, iż Dingo mógłby nam coś o tym powiedzieć?... Może by o to zapytać?... – ze śmiechem zakończyła słowa swe kapitan.

W tej samej chwili Dingo podniósł swój łeb w górę i zawył żałośnie, lecz prawie natychmiast jego rozumne oczy nabiegły krwią i zamigotał w nich wyraz straszliwej wściekłości.

Zdumiony kapitan rozejrzał się dokoła i jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Portugalczyka, który w tym samym momencie wychylił się ze swej kuchni.

– Z jakiego powodu pies ten tak bardzo cię nienawidzi, Negoro? – zapytał kapitan.

– Czyż ja mogę to wiedzieć? – odpowiedział kucharz – Najwidoczniej moja osoba nie znalazła w jego oczach uznania.

– Jest wprost niemożliwe, byś nie znał tego psa dawniej – stanowczym tonem powiedział kapitan. – Przyznaj się, gdzie się z nim spotkałeś?... Może to było w Afryce?

– Możliwe, iż pies ten widział mnie kiedyś i być może również, że go wtedy gdzieś tam kopnąłem – urągającym głosem odpowiedział Negoro. – Z psami bowiem w bliższe, przyjazne stosunki nie wchodziłem nigdy, trudno więc wymagać, bym fakt ten zapamiętał.

Po wymówieniu tych słów Portugalczyk cofnął się do swej kajuty, rzuciwszy przedtem psu pełne nienawiści spojrzenie.

– Dziwne jest to wszystko, bardzo dziwne – powiedziała pani Weldon – bo tylko spójrz, kapitanie, gdy Negoro stał się niewidoczny, Dingo jest znów spokojny, gdy przed chwilą było to straszne i niebezpieczne zwierzę.

– Musi być w tym jakaś tajemnica, niewątpliwie – odpowiedział kapitan – przecież Dingo, mimo swej siły, jest psem najłagodniejszym w świecie, a tylko widok Negora doprowadza go do wściekłości.

Lecz Dinga wprawiał w szaleństwo nie tylko widok Portugalczyka. Wystarczyło samo wymówienie imienia Negoro. I w tym wypadku, gdy usłyszał słowo to z ust kapitana, momentalnie wyrwał się z rąk obejmującego go za szyję Janka i jak wściekły rzucił się ku drzwiom kuchni, które na szczęście były dobrze zamknięte.

## ROZDZIAŁ VI

### Ukazanie się wieloryba

Dnia 19 lutego, po uporczywej ciszy, wiać zaczął lekki wiatr północno-zachodni, który pozwalał „Pilgrimowi” na szybkość sześciu węzłów na godzinę w niezupełnie dobrym kierunku, na nieszczęście. Statek już trzy tygodnie prawie znajdował się w drodze, lecz mimo to zbliżył się niewiele do celu swej podróży.

Dnia tego pani Weldon, jak zazwyczaj, przechadzała się rankiem po pokładzie, gdy wtem jej uwagę zwrócił dziwny odbłask wód oceanu, które były tak jasne, że aż wzrok raziły; zabarwienie wody było przy tym najwyraźniej czerwone.

– Dlaczego morze ma dziś kolor czerwony? – zapytała przechodzącego Dicka młoda kobieta.

– Powodem tego – odpowiedział zapytany – są miliardy maleńkich skorupiaków w rodzaju drobnych krewetek, którymi zazwyczaj karmią się wielkie, morskie ssaki.

– O mamó, mamó! – zawołał wtedy Janek. – Więc to są raki? W takim razie proszę cię bardzo, byś kazała Negorowi nałowić ich trochę, bo ja tak bardzo lubię zupę rakową!

Dick roześmiał się głośno.

– Podzielasz gust wielorybów, Janku kochany – odpowiedział chłopcu – na nieszczęście raczki, które widzimy, są tak drobne, że ich łowić nie sposób. Zaś widzimy je, bo są w dużej ilości; są ich miliardy miliardów.

Ławica, na którą myśmy się dostali, ciągnie się na parę mil dookoła. Jest to prawdziwe „pastwisko wielorybów”, według wyrażenia rybaków.

– Ach! gdybyśmy spotkali takie pastwisko przed miesiącem, gdyśmy na wieloryby polowali – odezwał się Howick – zaraz byśmy się wzięli do porządkowania harpunów. Bo poszedłbym o zakład, że niedługo natkniemy się na wieloryba.

Jakby na rozkaz, w tej samej chwili rozległ się głos majtka, stojącego na pokładzie okrętu:

– Wieloryb z prawej burty, pod wiatr!

Kapitan, prawdziwy zapalony myśliwy, aż podskoczył z radości.

– Co, wieloryb? – cóż to za miła niespodzianka, co za traf szczęśliwy!

Istotnie, niespokojne ruchy fal wskazywały, iż o cztery mile od statku, musi się znajdować jakieś wielkie zwierzę.

Kapitan Hull i cała załoga z zajęciem przyglądali się olbrzymiemu ssakowi, który mieć musiał, sądząc na oko, około 70 stóp długości; należał więc do bardzo wielkich.

– Pół tuzina takich okazów, a zapełniłoby się wszystkie nasze próżne beczki – odezwał się Howick.

– Z pewnością tak by było – odpowiedział kapitan.

– Jeżeli byśmy zdecydowali się na złowienie go, choć w części powetowalibyśmy sobie nasze poprzednie niepowodzenia – raz jeszcze odezwał się Howick, zwracając się do kapitana, przy czym w jego głosie wyczuć było można wyraźną prośbę.

– To prawda – rzekł Dick – połów jednak nie zawsze się udaje, niesie on zawsze pewne niebezpieczeństwo... A nas jest teraz tak niewielu na pokładzie!

– Rozsądek przemawia przez usta twoje, Dicku – wmieszał się do rozmowy kapitan. –

Wieloryby mają do tego stopnia silne ogony, że najmocniej zbudowana łódź nie wytrzyma ich uderzenia.

– Z drugiej jednak strony złowienie takiego kolosa dałoby nam ogromne korzyści – dokończył kapitan, a cała załoga te jego ostatnie słowa przyjęła z wyrazami głośnego uznania.

– Można by wytopić ze sto beczek tranu! – wołano. Kapitan milczał, lecz widać było, iż ma ogromną ochotę ulec prośbom marynarzy.

Wtem odezwał się cieniutki głosik:

– Mamo, poproś kapitana, ażeby mi złowił tego wieloryba, bo mam wielką ochotę przypatrzeć mu się z bliska.

To mały Janek rzucał na szalę wagę swego głosu.

– Tak, maleńki? – wesoło zawołał Hull – A więc dobrze, postaram się spełnić to twoje życzenie.

– Prawda, zuchy? – mówił dalej, zwracając się do majtków – Niewielu jest nas wprawdzie, lecz może by się dało temu jakoś zaradzić?

– Ależ, kapitanie – chórem zawołali majtkowie – nas szczęściu w łodzi wystarczy, zaś statkiem zaopiekuje się przecież pan Dick!

– Widzę, że będę musiał ulec waszym prośbom... – powiedział po chwili zmagania się ze sobą kapitan.

– Tak, tak! – odpowiedzieli majtkowie. – Wyruszamy na łowy!

– Kapitanie, będzie was zbyt mało, a to wieloryb wyjątkowo potężny – odważył się wystąpić z protestem Dick.

Ale podniecony i ogarnięty namiętnością łowów kapitan nie zwrócił większej uwagi na słowa chłopca.

– Toż to drobnostka, Dicku – odpowiedział – czyż to dla mnie pierwszozna? Sam rzucać będę harpunem i zobaczysz, jak szybko załatwię się z tym olbrzymem.

– Hurra!... niech żyje nasz kapitan – wołała cała załoga ogarnięta już szalem mordowania i nadzieją pokaźnych zysków.

## ROZDZIAŁ VII

### Przygotowania do polowu

Pragnienie polowania było do tego stopnia w całej załodze mocne, że nawet pani Weldon nie śmiała protestować. Niepokoila ją jednak zbyt mała liczba marynarzy.

Lecz kapitan Hull ją uspokoił.

– Nie po raz pierwszy zdarza mi się wyruszać na polów w jednej tylko łódce, a wynik był zawsze pomyślny. I niech pani mi wierzy, że nam nic nie zagraża. Jest, oczywiście pewne ryzyko, lecz niebezpieczeństwo towarzyszy każdemu naszemu krokowi.

Pani Weldon, uspokojona tymi słowami, nie sprzeciwiała się więcej, zwłaszcza iż nie mogła wiedzieć, że kapitan nie był zupełnie szczery. Wyprawa bowiem na wieloryba w jednej tylko łodzi była zawsze bardzo ryzykowna. Jedno wadliwe uderzenie wiosłem groziło nieuchronną zgubą.

W dodatku, wobec małej liczby majtków, kapitan był zmuszony sam wziąć udział w wyprawie, pozostawiając dowództwo statku piętnastolatкови!...

Cofać się jednak już było niemożliwe.

– Dicku! – rzekł do młodego chłopca, odprowadzając go na stronę. – Oddaję statek pod twoją opiekę. Pamiętaj, iż na twojej głowie będzie teraz bezpieczeństwo żony naszego chlebobawcy i jego małego synka. Mam jednak nadzieję, iż moja nieobecność nie potrwa zbyt długo.

– Dołożę wszelkich sił, ażeby podołać zadaniu – odpowiedział poważnie chłopiec.

Dick miał nieklamana ochęć wziąć udział w łowach, zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że na łodzi pożądanego jest przede wszystkim silne ramię, podczas gdy na statku tylko on jeden z całej załogi był zdolny w pewnej choć mierze zastąpić kapitana.

W końcu przyszła chwila odjazdu; czterech marynarzy zajęło miejsca przy wiosłach, sternik Howick ulokował się na swym zwykłym miejscu przy sterze, zaś kapitan Hull stanął na przedzie łodzi, z harpunem w ręku.

Pogoda zdawała się sprzyjać wyprawie, morze było spokojne, co sprzyjało manewrowaniu szalupą.

Rzuciwszy okiem na łódź, dla sprawdzenia, czy wszystko jest w niej w porządku, kapitan raz jeszcze przywołał do siebie Dicka.

– Chłopcze – powiedział – żagle postawiłem ci tak, że będziesz mógł manewrować statkiem bez większych trudności. Brałem pod uwagę słaby wiatr, jaki mamy już od dość dawna; gdyby nagle się zmienił, to Tom i jego towarzysze są już dosyć dobrze zaznajomieni z rzemiosłem majtków i będą zdolni niewątpliwie pomóc ci w każdym wypadku.

– Możecie płynąć spokojnie, panie kapitanie – odpowiedział na te słowa Tom – my wszyscy z radością i bardzo starannie spełnimy każdy rozkaz pana Dicka Sanda i ręczymy za porządek na statku.

– Widzisz, Dicku, jakich mieć będziesz wiernych i chętnych pomocników – mówił dalej kapitan. – Pamiętaj tylko o jednym, że tobie nie wolno opuścić teraz, jako jedynemu odpowiedzialnemu kapitanowi, statku pod żadnym pozorem. Jeżeli polów nasz zmusi łódź do

zbytniego oddalenia się od statku, to podążaj za nami. Gdybyśmy nie wrócili przed nocą, pozapalaj latarnie na masztach. A gdyby wyłoniła się potrzeba bliższego podpłynięcia ku nam, dam ci wtedy znak, przez podniesienie w górę tej oto bandery.

– Wszystkie twe rozkazy, kapitanie, będą z pewnością wypełnione, bądź spokojny o to. Nie spuszczę zwłaszcza z oka waszej łodzi – odpowiedział Dick.

– Ufam ci całkowicie, znam przecież twą przedsiębiorczość, ostrożność i rozwagę. Gdyby było inaczej, nigdy bym się nie zdecydował na opuszczenie statku. I wiedz, że ciężkie obowiązki masz do spełnienia teraz, wiedz i to również, że w obecnej chwili jesteś absolutnym panem na statku, na którym wszystko podlega twojej woli. Jesteś niewątpliwie pierwszym w dziejach kapitanem, mającym piętnaście lat.

Dick Sand słowa te przyjął w głębokim milczeniu. Zarumienił się tylko mocno, a oczy błysnęły mu energią.

– Zuch chłopak! – pomyślał sobie kapitan Hull. – Szczęśliwy statek, na którym będzie on obejmował w przyszłości dowództwo.

Mimo to, mimo całej wiary w Dicka, kapitan nie bez niepokoju oddalał się od swego brygu.

– Szczęśliwych łowów! – wesoło wołała pani Weldon. – Choć prawda – dodała po chwili ze śmiechem. – Mąż mówił mi zawsze, że takie życzenia nieszczęście przynoszą!

– O ile są wypowiedziane przez usta stare i brzydkie – z galanterią odpowiedział kapitan. – Życzenia łaskawej pani pobudzić mogą jedynie do pokazania całej naszej energii.

Mały Janek rozproszył resztki chmur na czole kapitana.

– Wujku kapitanie – wołał chłopczyk przesyłając rączkami gesty pożegnania – proszę cię, nie męcz zbytnio biednego wieloryba, gdy będziesz go łowić. Delikatnie weź go za płetwy, jak to robi wujek Benedykt, gdy pochwyci motyla.

Słowa te cała załoga przyjęła głośnymi wybuchami śmiechu.

– Panie kapitanie – wołał jeszcze kuzyn Benedykt – o ile wiem, to na skórze tych wielkich ssaków znaleźć można czasami nader rzadkie okazy owadów, jeżeli bym więc mógł prosić...

– Czyż tak jest istotnie? – pełnymi już ustami śmiał się kapitan – O!... jeżeli tak, to mieć będziesz, panie Benedycku, pełną swobodę czynienia swych poszukiwań, gdy nasz wieloryb znajdzie się już na pokładzie.

Łódź coraz bardziej się oddalała. Wszyscy przesyłali ostatnie, głośne pożegnania i wyrazy radości. Nawet Dingo wsparł się na swych potężnych łapach i wychylił daleko olbrzymi łeb poza barierę okalającą pokład, lecz zamiast szczeekać radośnie – zaczął posepnie wyć.

Wycie to przeraziło panią Weldon.

– Dingo! – zawołała. – Brzydki, niepoczciwy Dingo! To ty w ten sposób żegnasz swych zbawców i przyjaciół? No, szczeknij mi zaraz, tylko głośno, wesoło i radośnie!

Pies nie posłuchał jednak rozkazu, zwiesił tylko smutnie łeb ku ziemi, potem podszedł ku pani Weldon i lizać zaczął jej ręce.

– Zawył... zły to znak!.. o, zły! – mruknął do siebie stary Tom. Dingo krótko jednak tulił się do kolan pani Weldon, po chwili odskoczył, sierść mu się najeżyła i momentalnie się wyprężył, jakby do skoku.

Pani Weldon odwróciła się natychmiast i ujrzała na przedzie okrętu ukrytego Negora, który opuścił kuchnię, żeby przypatrzeć się odjazdowi. Dingo, nie zważając na wołania pani Weldon, rzucił się ku Portugalczykowi z wściekłością. Lecz Negoro nie stracił przytomności, pochwycił szybko dobrze okuty drąg i stanął w obronnej postawie, plecami opierając się o maszt.

Pani Weldon rzuciła się jednak na pomoc Portugalczykowi i była na tyle szybka, że zdołała jeszcze pochwycić psa za obrozę, czym go w szalonym skoku powstrzymała.